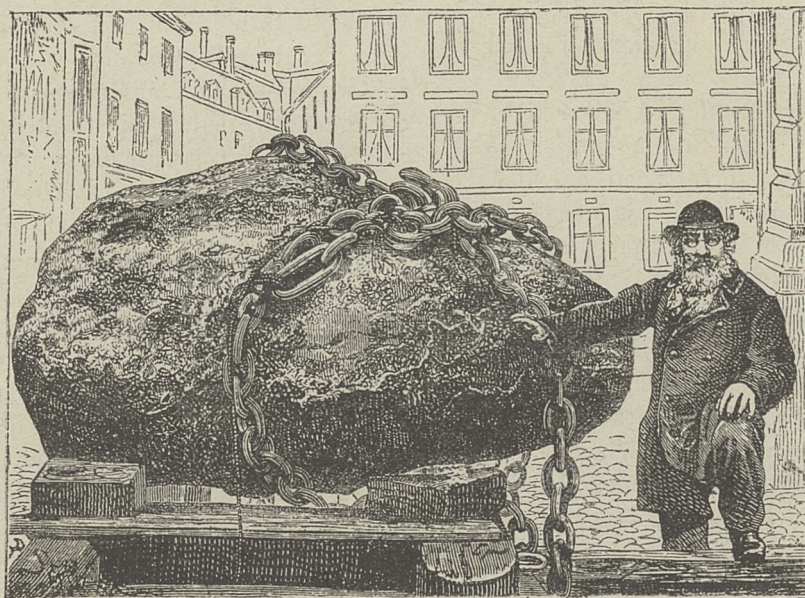




WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Bryła żelazna spadła w pobliżu Owifak.

O KAMIENIACH NA ZIEMIĘ SPADAJĄCYCH.

Skreślił Stanisław Kranuszyk.

(Ciąg dalszy).

Dnia 30 stycznia 1868 roku w znacznej części kraju naszego widziany był świetny meteor, który utrwalił się w pamięci ludzi wówczas żyjących.

Około godziny 7 wieczorem, przy pogodnym niebie, ukazała się nad Warszawą wspaniała kula ognista; w pierwszej chwili miała blask gwiazdy bardzo jasnej, ale rosła bardzo szybko, tak, że wkrótce dorównała niemal tarczy księżyca, ciągnąc za sobą snop czyli ogon płomienisty, mający postać worka zaostrzonego, 18 razy dłuższy a 4 razy szerszy aniżeli średnica księżyca. Światło, z początku żółtawe, przy po-

większeniu kuli przeszło w niebieskavo-zielone, następnie w ciemno-czerwone, było zaś tak silne, że miasto całe było jakby oblane łuną groźnego pożaru. Nagle kula znikła, a w tejże chwili usłyszano huk gwałtowny, jakby potężny strzał armatni.

Kula ta ognista widziana była współcześnie w Gdańsku, Poznaniu, Krakowie, Pradze, Wiedniu, Grodnie i dalej jeszcze; w miejscach odleglejszych widziana była jedynie, jako świetna gwiazda spadająca, w innych, jako kula ognista, przebiegająca bez huk, który słyszano na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych. Kres jej biegu miał miejsce nad Pułtuskim. Tam równie dostrzeżoną została najpierw jako gwiazda biegnąca z południo-wschodu na północo-zachód; pozorna jej wielkość szybko wzrastała i światło rozlewała oślepiające. Nagle rozsypały się z niej świecące punkty, a na jej miejscu pozostał jasny obłok, z którego w ciągu

pół minuty wyrwały się grzmoty wśród bezustannego łoskotu; w tejże chwili w pobliskich wioskach, położonych nad brzegami Narwi, dał się słyszeć łoskot i plusk spadających kamieni, uderzających o lód i o stojącą nad nim wodę.

Meteor przeto rozbił się tu wśród gwałtownego huków i rozpadł na niezmierną ilość drobnych ułamków, które pokryły przestrzeń trzeciej części mili kwadratowej. Zebrano przeszło czterysta takich okruchów, między którymi znajdował się kamień ważący siedm kilogramów, czyli około siedm-nastu funtów, cztery inne ważyły po cztery kilogramy, inne były mniejsze, przeważnie nawet bardzo drobne; znaczna ich część padła w rzekę i na łąki wodą zalane, wszystkich więc zebrać nie zdołano. Oceniono wszakże, że ogólny ich ciężar wynosić mógł około 500 lub 600 kilogramów.

Z opisu tej jednej kuli ognistej można już mieć wyobrażenie o innych podobnych wypadkach, lubo szczegóły bywają mniej lub więcej odmienne. Widzieliśmy też, że mieszkańcom okolic dalszych zjawisko to wydało się tylko gwiazdą spadającą, w miejscach bliższych widziano je jako kulę ognistą, ale huk nie słyszano, a pod Pułtuskim nastąpił grad aerolitów; okoliczność ta potwierdza nasz domysł, że wszystkie te objawy należą do jednej kategorii i różnią się tylko stopniowaniem.

Głazy, przybywające do nas ze sfer pozaziemskich, słusznie podniecają ciekawość naszą. Są one bowiem jakby gońcami, przybywającymi do nas z przestrzeni dalekich, zagadkowych, z obcych nam światów. Zawierają może substancje nam nieznanne, zbudowane są może z pierwiastków odmiennych, aniżeli ziemskie nasze ciała?

Wbrew takiem oczekiwaniom nie napotkano wszakże w aerolitach ani jednego pierwiastku, któryby nie był znany na ziemi. Najobficiej występuje w nich żelazo, bądź w stanie rodzimym, z innymi pierwiastkami niezwiązane, bądź też połączone z siarką lub tlenem, jak rudy żelazne na ziemi. Żelazu towarzyszy zwykle nikiel, metal do niego bardzo podobny; znalaziono też w aerolitach magnez, cynę, miedź, glin i inne jeszcze metale, a oprócz tego fosfor, siarkę, tlen, azot, wodór, a nawet i węgiel. Stosownie do tego, czy w aerolitach przeważa żelazo rodzime, czy też głównie ich materiał stanowią minerały niemetaliczne, można je podzielić na dwie kategorie, na aerolity żelaziste i kamienne. Aerolit pułtuski składa się z masy kamienistej, w której żelazo rozrzucone jest w postaci ziarn różnej wielkości; tego rodzaju aerolity są najczęstsze.

Spadek aerolitów żelazistych dostrzeżono dotąd kilka zaledwie razy, a najdokładniej znany jest spadek brył takich w Broumowie w Czechach, dnia 14 lipca 1847 r. Nad ranem mieszkańcy miasteczka tego i okolic zbudzeni zostali dwoma gwałtownymi wystrzałami i dostrzegli dwie smugi ogniste, które z zacerwienionej chmurki opuściły się na ziemię. Sądzone, że to piorun uderzył w pobliżu, ale po zbadaniu tego miejsca okazało się, że spadła tam masa rozżarzona, która się na trzy stopy w ziemię zaryła. W sześć godzin po spadku była jeszcze tak gorąca, że niepodobna było jej się dotknąć, ważyła zaś 21 kilogramów; obecnie znajduje się w muzeum mineralogicznem w Wiedniu. Drugi, mniejszy odłamek tegoż meteoru spadł w Broumowie do domu, którego dach przebił.

Spadków takich brył żelaza meteorycznego, jak powiedzieliśmy, dostrzeżono bardzo mało; natomiast wszakże znalezio-

no na ziemi znaczną liczbę brył żelaznych, które niewątpliwie są pochodzenia meteorycznego, czyli pozaziemskiego, chociaż ich spadku na ziemię bezpośrednio nie widziano. W drugiej połowie zeszłego stulecia objeżdżał Syberję znakomity naturalista, Piotr Szynron Pallas, i w pobliżu Jenisseju znalazł wielką masę żelazną. Słynna ta bryła, znajdująca się obecnie w Petersburgu, ważyła pierwotnie 688 kilogramów; teraz jest znacznie lżejszą, gdyż wiele jej odłamków przesłano rozmaitym zbiorom. Jestto bryła żelaza rodzimego, posiadająca liczne wydrążenia, zapełnione minerałem zielono-żółtym, zwanym oliwinem; ponieważ znamy niewątpliwie aerolity, mające takąż samą budowę, wniesiono więc stąd, że i bryła Pallas jest również aerolitem, który już w czasach bardzo dawnych spadł na ziemię.

We Francyi, w wiosce La Caille, od niepamiętnych czasów przed wrotami kościelnymi leżała bryła żelazna, ważąca blisko 600 kilogramów, która tam służyła za ławkę, dopóki przed pięćdziesięciu laty, jako piękny okaz żelaza meteorycznego, nie powędrowała do muzeum historii naturalnej w Paryżu. Niejedna też bryła żelaza rodzimego dostała się do huty żelaznej, gdzie jej użyto na wyroby i dla nauki straconą została. Wspomniane tu wszakże masy żelazne są drobne w porównaniu z niektórymi amerykańskimi. W okolicy zachodniej względem miasta Meksyku leży znaczna ilość brył żelaznych, które jeszcze przed przybyciem Hiszpanów używane były na wyroby. W pustych okolicach Argentyny znajdują się bryły, dochodzące 15,000 kilogramów wagi. W r. 1870 uczony podróżnik szwedzki, Nordenskiöld napotkał na wyspie grenlandzkiej Disbo, w pobliżu miejscowości Owifak, trzy wielkie masy żelazne, których ciężar oceniono na 25,000, 10,000 i 4,500 kilogramów. Jedną z tych brył przedstawia załączona tu rycina. Przyznać jednak należy, że nie posiadamy zupełnej pewności, czy olhrzymie te głazy żelazne za aerolity uważać należy, różnią się bowiem dosyć od innych brył żelaza meteorycznego; odmienne są wszakże i od wszelkich skał ziemskich, na ziemi bowiem żelazo nie występuje w stanie rodzimym, czystym, ale w związku z innymi ciałami tworzy rudy.—Co się tyczy drugiej kategorii aerolitów, meteorów kamiennych czyli kamieni meteorycznych, to zawierają one różne minerały, znane dobrze i w skałach ziemskich, a mianowicie w skałach krystalicznych, plutonicznych, to jest w skałach pochodzenia ogniowego, stanowiących głębsze warstwy skorupy ziemskiej; nie znamy ani jednego aerolitu, któryby odpowiadał wierzchnim, napływowym czyli nowszym skałom ziemskim.

(d. n.)

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Daj mu pokój! — rzekł Dugan, śledząc z zaciekawieniem ruchu murzyna.

Odrzuciwszy wierzchnią warstwę piasku gliniastego,

Morbora dosięgnął pierwszych korzeni krzaka, schwycił jeden z nich, rozłamał i włożył do ust...

Nie nanyślając się długo, Jerzy uczynił tak samo; z rozłamanego korzonka, ku zdumieniu jego, spływała kroplami chłodna, przezroczysta, orzeźwiająca woda.

— Pijcie, pijcie! — wołał chłopiec, — przepyszne, doskonałe, wyborne, nektar!...

— Dziwne, bardzo dziwne! — mrucał doktor, zsiadając z wielbłąda. — Jakto, więc w tych suchych na pozor i pozbawionych soków krzewach znajduje się tyle płynu?... Hm...

Cudowna roślina była jakimś gatunkiem karłowatego eukalyptusu, podobnym do *eucalyptus dumosa*, który tworzy na południu Australii skrub nieprzebytej; jej mięsiste, gąbczaste korzenie sięgały głęboko w ziemię, przenikając znać aż do warstw, gdzie panowała wilgoć i stamtąd ciągnęły ożywcze soki.

Nie było jednak czasu na rozwiązywanie kwestyi tego rodzaju, chodziło bowiem o to, żeby czemprędzej zaspokoić dręczące niemilosierne pragnienie; zaczęto więc rozkopywać gorączkowo ziemię w pobliżu zbawczych krzewów, wyciągano na wierzch korzonki i wysysano chciwie czysty, słodkawy sok.

Przez długą chwilę rozlegało się tylko głębokie sapanie i szelest odrzucanego na bok piasku; wypuszczano z ust jeden korzeń i natychmiast brano się do drugiego...

Ożywczy płyn gasił powoli ogień, nurtujący wnętrzości podróżników; pierwszy podniósł się z ziemi stary Bob i zadowolony, poklepał po nagich ramionach Morborę.

— Zuch z ciebie — rzekł mu z uśmiechem; — przyznaję, że przyczyniłeś się do ocalenia nam życia; dostaniesz za to tytuniu, ile tylko zapragniesz; uwędzę cię przez wdzięczność, jak mi Bóg miły!

— Jaka szkoda, że nie można nabrać tego soku w worki na zapas, — westchnął Jerzy. — Cóż damy pić naszym biednym szkapom, które tam na nas czekają!? A i wielbłądom należałoby się już po kubelku wody.

— Sprobujmy, czy się nie da usaczyć cokolwiek w naczynie, — rzekł Dugan; — co prawda, woda spływa kroplami, ale w końcu może się jej zebrać sporo. Zostaniemy tutaj z doktorem; wy zaś powróćcie do obozu z wielbłądami i sprowadźcie tutaj nasze rzeczy wraz z końmi.

— Dobrze, wuju — odparł Jerzy ochotczo; — spełniły szybko twój rozkaz.

Pocziwy chłopiec, pragnąc jak najrychlej przynieść ulgę cierpiącym zwierzętom, pokłusował naprzód na swym dromaderze. Była już noc, kiedy stanął na opuszczonym biwaku; nie tracąc czasu, pobiegł do miejsca, gdzie znajdowały się konie; zastał je rozciągnięte bezwładnie pod krzakami.

— One zdychają, o Boże! — zawołał, klękając przy siwku i obejmując czule jego głowę ramionami... Wstań, biedaku, spróbuj, tam czeka na ciebie woda... no!

Usiłował go podnieść, ale nadaremnie; zwierzę patrzyło nań zamdlonemi oczyma, w których gasło już życie, wciągnęło w pysk zczerniały, wyschły język, drgnęło parę razy konwulsyjnie i skonało...

— Tomie, Bobie, ratujcie go! — krzyknął zrozpaczony chłopiec, zrywając się; gdzie jest koniak? Dajcie tu trochę trawy!

Stary poszukiwacz zbliżył się do swego wierzchowca, obejrzał go uważnie i wzruszył ramionami.

— Wszystko na nic się już nie przyda, — mruknął; — trup, trup, paniczu; zmarnowały się koniska, Bóg wie, jak się bez nich obejdziemy...

— A gniady? — zagadnął Jerzy, ocierając łzy, cisnące mu się do oczu.

— Zesztywniał już, paniczu; ot, nogi sterczą mu do góry — odparł Tomasz z rozpaczliwym gestem. — Po licha było kopać te doły! gdybyśmy pojechali dalej, to prędzej znaleźlibyśmy gdzie wodę i szkapy by nie przepadły... Et!...

Rzekłszy to, pastuch odrzucił gałęzie, pokrywające stębnię i spuścił się do jej wnętrza. W chwilę potem rozległ się jego radosny okrzyk!

— Woda, woda jest! Przyszła!

Zelektryzowani tymi wyrazami, Abel, Bob i Jerzy zerwali się i pobiegli nad brzeg dołu, z którego po chwili wyjrzała rozjaśniona twarz młodego pasterza.

— Dajcie kubek, żywo! Zaraz go wam napełnię.

— W imię Ojca, Syna i Ducha świętego! — mrucał Bob, żegnając się! — prędzejbym się śmierci spodziewał!...

— Rzeczywiście, to niepojęte, — rzekł, równie zadziwiony Jerzy.

— Przeciwnie, bardzo proste, — wtrącił Abel; — woda podskórna, nasiąkająca piasek, nagromadziła się stopniowo na dnie studni; zawsze tak bywa. Ostrożnie! — zawołał, schylając się nad dołem; — nie zasyp tylko!

— Ciągnijcie! — odparł Tom.

— Abel pochwyił za sznur i niebawem ukazał się kubek blaszany, w którym kołysała się tak pożądana woda.

Jerzy nachylił się i przyłożył usta do naczynia.

— Nie najlepsza, — rzekł skosztowawszy; — słona i gorzka.

— Prawda, — potwierdził Bob; — ale da się wypić; dzięki Bogu i za taką; wydałaby się smaczniejszą przed paroma godzinami.

— Dla czegoż nie przyszliśmy tu prędzej! — westchnął Jerzy; — biedne nasze koniki nie zginęłyby tak okropną śmiercią; czy nie uda się jeszcze ocalić siwka?...

Daremny trud, paniczu, ot, lepiej napojmy wielbłądy i spieszmy z dobrą nowiną do pana Dugana.

Podczas, gdy pastuchy zajęli się dromaderami, Jerzy robił wszystk co mógł, ażeby przywrócić życie koniowi; wpuszczał mu do pyska wodę, pomieszaną z koniakiem, zlewał łeb i szyję, rozcierał mokrą gąbką boki. Niestety, starania jego nie wydały żadnego rezultatu; zwierzę było martwym.

Ze ściśniętym sercem dobry chłopiec wracał z towarzyszami do oczekującego nań wuja. Pan Artur, jak to łatwo było przewidzieć, zmartwił się bardzo utratą wierzchowców. Od tej chwili Tom i Bob byli skazani na pieszą podróż, co musiało opóźnić pochód i przedłużyć przeprawę przez pustynię.

Karawanę czekały nowe trudy i przykrości.

(d. c. n.)

Tramwaje na linach.

Zawieszane w górze na linach tramwaje, od dawna używane były w przemyśle amerykańskim do przewożenia mniej znacznych ciężarów, obecnie zastosowano je do użytku podróży. Cztery liny na których wagon zawieszony na żelaznych kółkach, zarzucone przez długość całej przestrzeni dzielącej dwa punkta, zastępują tu szyny.

Ten rodzaj lokomocyi w pewnych razach oddaje wielkie usługi podróżnym. Tramwaj podobny urządzono teraz na Gibraltarze, dla połączenia wieży sygnałowej wzniesionej na szczycie środkowego wzgórza, wysokiego 380 metrów, z częścią południową miasta, rozłożoną u podnóża góry. Poprzednio dostanie się do tej części niemało kosztowało trudu; przeprowadzenie tam kolei żelaznej zbyt wielkie pociągałoby koszta, zastosowanie przeto tramwaju na linach okazało się jedynym, praktycznym środkiem komunikacyi.

W Meksyku kursuje również taki rodzaj tramwaju w powietrzu; przechodzi on nad wąwozem głębokim na kilkaset metrów. Mostów takiej długości z powodu trudności technicznych, jak niemniej z przyczyn wielkich kosztów, nie było można budować, tramwaj zaś tańszy i łatwiejszy do urządzenia, zupełnie odpowiada celowi.

W pobliżu Knoxville w stanie Tenessee, nad rzeką tegoż nazwiska, wznosi się góra wysoka na 150 metrów, zwana Longstreet Heights, na pamiątkę generała amerykańskiego,

który tam niegdz miał główną kwaterę. Miejscowość ta jest celem pielgrzymki dla osób pragnących uczcić pamięć bohaterów ostatniej wojny. Leży ona w bardzo pięknej okolicy, urozmaiconej licznymi grotami, a jedna z nich, w odległości 15 metrów od wierzchołka, odznacza się tą osobliwością, że wieje z niej ciągle wiatr zimny.

Dla ułatwienia podróżnym dostania się na szczyt tej góry, stowarzyszenie, które nabyło tam znaczną część gruntu, urządziło tramwaj powietrzny. Jest to dzieło niesłychanie śmiałe; w miejsce lin są tu łańcuchy stalowe, trzy centymetry grube, przerzucone z jednego brzegu rzeki na drugi na długości 325 metrów, przytwierdzone mocno po dwóch stronach, bez żadnych podpór pośrodku.

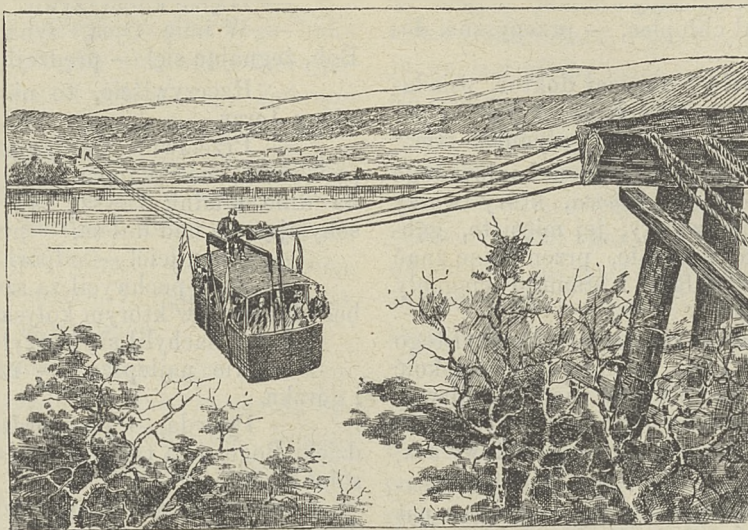
W górę jedzie się trzy i pół minuty, na dół, posuwając

się własnym ciężarem, tramwaj gon pomieścić wygodnie może 16 osób, ale przewożą w nim po 20 i więcej podróżnych, co jest wielką nieostrożnością, bo w razie zerwania się łańcuchów, osoby te narażone są na śmierć niechybną.

Przejażdżka wszakże podobna zostawia miłe wrażenie, a raz zakosztowawszy tej przyjemności, podróżni radzi ją często powtórzyć.

Jeden z współczesnych inżynierów proponuje urządzenie takich powietrznych tramwajów na przebycie większych gór, wąwozów, potoków i rzek, nad którymi stałoby się wianie mostów byłoby zbyt kosztowne. Podejmuje się nawet urządzić podobny tramwaj nad wodospadem Niagary; liny byłyby przeciągnięte nad samą kataraktą,

coby dawało możność przypatrywania się bezpiecznie z góry temu z niczem nierównanemu widokowi.



Puszcza św. Jana Chrzciciela.

— * * * —

W puszczy rosło cne pachole,
Nie w ludzkiej lecz w Boskiej szkole,
Pełne nadziemskiego wdzięku:
Długie włosy, laska w ręku,
Jako anioł — zawsze w bieli,
Towarzyszą mu anieli,
Codziennie te niebieskie duchy
Znoszą mu jadra okrucy
Od Jezuska, co w oddali
Z Matką Boską się tułali.

I ten luby, słodki Janek,
Ptactwa puszczy był kochanek.
Aż bywało, spojrzeć miło,
Jak się wszystko doń tuliło.
I słowiki mu śpiewały:
„Królu ty nasz, Janku mały!
Będziem twymi śpiewakami,
Zostań tylko zawsze z nami!”

To znów dziobiąc szaty rąbek,
Gruha wdzięcznie doń gołąbek,
To na ramię mu wyskoczy,
I zagłada prosto w oczy
Z zaufaniem i szczerotą,
Bo w nim widzi jakby brata
Niewinnością i prostotą.
A skowronek choć ulata
Gdzieś wysoko — poza chmury —
Ale zawsze padnie z góry

Ponad Janka jasną główką,
By mu szepnąć słodkie słówko.

I strumyki mu szemrały,
Drzewa liśmi powiewały:
Nad strumieniem, pod tym cieniem,
Zostań tutaj moje złoto,
Z namiś nie jest już sierotą...
U nas nie tak jak wśród ludzi,
Kędy spokój tylko ludzi,

.

Gdzie się ciągnie jar głęboki
Ciemny, długi i szeroki —
Na urwisku, skał pustyni,
Stoi wejście do jaskini,
A w jej głębi złamek skały,
Jako polny kamień biały:
Jest to łożo pacholęcia.
Tu, jako niegdys prorocy,
Na kamieniu spędzał noc.

Bije źródło z skał zagięcia,
Ponad grotą bystro płynie
I wybiega ku dclinie.
Anioł tu sprowadził wodę
Dla chłopięcia na ochłodę.

A widnokrag tu szeroki —
Jeruzalem widać w lewo,

I uwieńcza szczyt opoki
Wzdłuż rożkowe *) bujnie drzewo.
Święty Jan wyciągał rączki
Po czerwone, słodkie strączki.

Do lat siedmiu — okruszyny
Miewał tylko od Dzieciny.
Odtąd żył, jak ptaszki w lesie,
Tem — co puszcza mu przyniesie:
To szarańcza, to miód leśny,
Czasem owoc niepoczesny.

Bo pustynia ta zielona
Wieńcem sadów opleciona,
A dla tego „puszczą” zwana,
Że samotna — niema pana.
Tylko Boga — niema chleba,
Tylko w górze kawał nieba.

O uroczaj ty kraino!
Choć nie plyniesz miodem, mlekiem,
Lecz twe skały dzikie słyną
Tem dzieciątkiem — pustelnikiem,
Rajskim ptaszkiem, co zarazem
Boskiej pieczy jest obrazem.

Murya Sandoz.

*) Owoce zwany: różki świętojańskie.



Obrazek tatrzański.

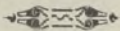
OBRAZEK TATRZAŃSKI.

Pomimo zdumiewających postępów na drodze odkryć i wynalazków, za pomocą których ludzie posuwają coraz dalej nowe zdobycze naukowe, nic jednakże nie zdoła przyćmić tej odwiecznej prawdy, że i najbystrzejsza potęga umysłu ludzkiego, łamie się tam, gdzie jej przyjdzie stanąć wobec przyrodzonych cudów, jakimi ręka wszechwładnego Stwórcy uposażyła ziemię, ten podnózek stóp swoich, kłnący wśród ogromu innych ciał niebieskich, krążących w systemacie słonecznym.

Wielkość bowiem kuli ziemskiej, stanowiąca dla nas tak niezmierny ogrom, w stosunku do całości wszechświata, ma się tak, jak postać tego górala na naszej rycinie, do krajobrazu co go otacza.

Mamy wszakże prawo sądzić, że nawet i dla oczu prostaczka, urodzonego i wychowanego w tych precudnych górskich okolicach, piękność ich nie traci nigdy wartości, czego dowodem bywa znana nostalgia czyli chorobliwa tęsknota, która ze stron żyzniejszych, ciągnie go z powrotem do rodzinnych wirthów, hal i połonin, gdzie oprócz czarnego owsa i traw wypasających stada owiec, nie masz innego rolnego bogactwa; łatwo jest więc sobie wyobrazić zachwyt wykształconego turysty, który poza temi malowniczymi górszczytami, zatopionymi w błękicie niebios, szuka ukorzoną duszą Stwórcy tych zdumiewających obrazów, powtarzając z poetą:

„Tyś Pan całego świata, Tyś niebo zbudował,
I złotemi gwiazdami cudnie uhaftował.
Chmury Twym wozem, wiatry Twoje cugi,
Niebo mieszkaniem, a pioruny sługi.



GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Przybywali bowiem do Salzburga arcyksiążęta i książęta, margrabiowie, grafowie i baronowie a z nimi tłumy rycerstwa. Jedni byli powołani dla wysłuchania słów legata, które im z rozkazu papieża przywoził, oraz dla podpisania ostatecznej ugody z Rzymem, inni zaś dla przypatrzenia się wspaniałości dworów, rycerskim pochodom i różnym uroczystościom jakie zwykle w owym czasie podobnym zebraniom towarzyszyły. Zamek arcybiskupi przepełniony był gośćmi, wielkie jego komnaty wrzały głośnie rozmową, stoły gięły się pod ciężarem mis cynowych i srebrnych, na których podawano w całości pieczone wieprze, barany, woły, oraz mniejszą i większą zwierzyinę. Wielu z tych którzy na takiej uczcie nigdy dotąd nie byli, ze zdumieniem spoglądali na te arcydzieła sztuki kucharskiej. Często bowiem wieprz był pieczony, albo gotowany a stał jednak na misie, jakby żył jeszcze. Woły i barany miały rogi złożone lub kwiatami strojone, sierść zaś na nich tak misternie udana, że niejeden myślał sobie:

— Toć widać na zamku arcybiskupim jedzą mięswo ze skórą i tem co na niej porasta!

Giemzy stały zwykle na skale udanej z ciasta wyglądały tak, jak gdyby w biegu chciały z owej misy wyskoczyć pomiędzy biesiadującymi.

Cóż dopiero mówić o dropiach, głuszcach i innym drobniejszym dzikiem ptactwie, którego dostarczały góry, a któ-

re w całej piękności swojego pierza, patrzyło unosząc się w górę, lub siedziało spokojnie w usłanem na misce gnieździe.

Ryby, których dostarczyło Königsee, chociaż już oddawna żyć przestały, pływały w winie lub smakowitym sosie, którego woń drażniła podniebienie zebranych biesiadników.

A cóż dopiero mówić o beczkach szumiącego piwa i o winie, którym piwnice arcybiskupiego zamku od wieków były napełnione, a które teraz z osobliwego rozkazu Wilhelma von Arco oddane było dla ugoszczenia czekających na jego przybycie książąt i baronów.

Tak wykwintne jadło dostawali tylko znakomitsi goście, ci też zasiadali w olbrzymiej komnacie, mogącej pomieścić przeszło trzysta osób. Za każdym prawie stał pacholek, dolewał wina lub podawał na misie wodę i ręcznik dla obmycia palców, którymi się przy jedzeniu posługiwano, widelców bowiem jeszcze wtedy nie używano.

Lecz nietylko owa wielka komnata miała biesiadników, roiły się nimi pomniejsze komnaty, cały dziedziniec zamkowy, lecz tutaj już byli goście, którzy nie mieli ani wysokiego znaczenia u dworu, ani wpływu na sprawy Niemiec. Ugaszczano jednak i tych sowicie, ale potrawy były proste; ryba gotowana lub wędzona, misy dymiącego się i pływającego w naturalnym sosie mięsniwa i groch prażony nasycały doskonale przybyłych, a piwo młode dostarczane z licznych posiadłości arcybiskupich, gasiło pragnienie.

Przy jednej też misie jadło kilka a czasem kilkanaście osób, wielka wanna stojąca przy drzwiach z wodą, służyła wszystkim do mycia rąk, a kawał płótna, wiszący na kołku do ich otarcia.

Gwar zaś tak w wielkiej komnacie jak i w wszystkich innych był nie do opisania. Wszyscy razem głośnie rozprawiali, czasem pieśń nawet wybiegała; ten dźwięk głosów ludzkich tłumiał szcęk naczyń i trącanie się głośnie kubkami. Powiększały też wrzawę psy, które jako towarzysze przy każdej wycieczce wielkich panów, dzieliły zwykle ich uczty, ogryzając chciwie rzucane im kości.

Czasem tylko głosy wszystkie milkły na chwilę, a na stojącą w rogu komnaty mównicę wchodził ktoś z uczującymi i przemawiał, sławiąc gościnność nieobecnego gospodarza, pijąc jego zdrowie lub wygłaszając swe zdanie co do głównej sprawy, która tu sprowadziła, wszystkich to jest do uregulowania stosunków między cesarstwem a Rzymem, czego rzecznikiem miał być oczekiwany arcybiskup Wilhelm.

W innych komnatach w braku mównicy, doraźny orator wchodził na opróżnioną z napitku a przewróconą do góry dnem beczkę i przemawiał także.

Po takiej chwilowo stosunkowo ciszy, gwar zwiększał się jeszcze, krążyły gościem kubki i puhary, wnoszono je za zdrowie mówiącego. Zdarzało się jednak, że zamiast toastu mówca usłyszał gwizdanie lub bez ceremonii wyrzucano go za drzwi.

Ucztowano tak w dniu owym swobodnie, nazajutrz bowiem wszyscy mieli wyruszyć w góry dla szukania na przyszłe uczty zwierzyny, a dnia już trzeciego wyjść uroczysto na przyjęcie oczekiwanego arcybiskupa.

Jeżeli zaś na zamku było tłumno i gwarno, roił się ludem rynek i najodleglejsze nawet uliczki miasta.

Kupcy przybyli ze stron dalekich, urządzili sobie dokółka rynku sklepy i głośnie swój towar zachwalali, środek zaś jego zajął jakiś siłacz, który wyzywał do spróbowania się z nim na pięści. Robiono grube zakłady, które siłacz zwykle wygrywał, powalając śmiałków jednym prawie zamachem. Teraz pochwylił grubego piekarza, o którym mówiono, iż ważył tyle co wół tuczony i obnosił go na rękę ku ucieście zebranego ludu, a może dyszącego w jego ramionach pochwieca, któremu się w tej chwili zdawało, iż jest małym chłopięciem.

Pod domami w zaułkach ulic wyciągali rękę żebracy z profesy lub przygodni, którzy podczas wielkiego zbiegowiska ludzi, spodziewali się sakwy swe groszem i jadłem napełnić.

Przyciągnęli też i rybacy z nad Königsee, między którymi spotykamy babulę, Anzelina z żoną i synem a nawet i Gutę, którą wzięto ażeby im pomagała w sprzedaży drobnych, suszonych rybek.

Nie brakło też i Grypa, który rzekł sobie:

— Babula prawiała, że jej Bogum w jasności po górach chodzi, toć ja będę chodził w jasnościach po mieście, boć tam od tych przybyłych książąt, blask prawie na każdego pada.

I poszedł wraz z innymi udając, że im pomaga a w rzeczy samej starał się tylko jakiś znaczny kasek dla siebie wyciągnąć.

Wśród takich to tłumów znalazł się Mirko ze swym wychowawcą, ależ on właśnie po to dążył, ażeby podczas zbiegowiska języka zasięgnąć o Robercie Hofsteinie. Zresztą nie obchodziły go tyle tłumy, on pragnął dostać się na zamek, dotrzeć choćby do samego biskupa, opowiedzieć rzecz całą i jego opiece młodego Hofsteina polecić.

Oprócz zaś odnalezienia Roberta miał jeszcze myśl inną, chciał on przedstawić przyniesioną sól i opowiedzieć o bijących z gór gorących źródłach, ażeby z nich użytek właściwy zrobić.

Widział przecie w Salzburgu zabytki dawnych łaźni, o których opowiadano, że je za czasów rzymskich zbudowano, a potem cesarze i wielcy książęta przybywali, aby w nich szukać uzdrowienia i ochłody.

Słyszał też na zamku Hofsteina, że dawno, bardzo dawno w wielu miejscach były łaźnie, do których chorzy z dalekich stron ściągali. A też przecie na młodym Hofsteinie miał najlepszy dowód, że źródła wytryskujące ze skał, w których lat tyle przeżył, mają siłę nadzwyczajną. Ale też wiedział, że bez pomocy możnych i mających wpływ na szerszym świecie, o tem niesłychanem bogactwie, które się się z gór wydobywało, nikt wiedzieć nie będzie. On zaś tak pragnął ogłosić o niem światu, aby biednemu ludowi okolicznemu przysporzyć chleba. Szedł więc pełen dobrej otuchy, że wszystkie swe marzenia i dążności złoży w ręce biskupa, o którego rozumie i dobroci słyszał oddawna. Ale po przybyciu do Salzburga trudno mu było, nietylko na zamek się dostać, ale nawet dobić się do głównego rynku.

O jakiegokolwiek gospodzie i marzyć nie można było, nie chodziło im też o dach nad głową, przyzwyczajeni byli obadwaj z Bogumem aby strop nieba był im osłoną, przepędzili więc noc pod miastem, wraz z wielu innymi.

Gwiazdziste lipcowe niebo roztaczało się nad wszystkimi, ależ nikt w jego błękit nie spojrział, nie cieszył się złotem polyskiem jego sklepienia, bo każdy myślał tylko, jakby tu za swój towar lub pracę jak najwięcej złota nzebierać.

Trudno też było i o kęs jakiego jadła, każdy się żywił tem co przyniósł, boć za wszelki posiłek wśród takiego zbiegowiska kazano sobie w trójnasób płacić.

Mirkowi nie szło o zbyt wielki wydatek, miał on już za zwierzynę i skóry które zwykle pozbywał przybywającym kupcom niemało uzbieranego grosza, tak, że nawet ocalonych Hofsteina skarbów, które zakopał w zamku, gdy po raz pierwszy do niego po owej strasznej nocy przybył, dotąd jeszcze nie dotknął wcale. Kiedy więc kupował wędzoną rybę, towarzyszowi swemu polecił zaopatrzyć się w bochen chleba, przy obok stojącym straganie usłyszał nagle głos cieniutki dziecięcy: — Bogum, Bogum!

Obejrzał się chcąc się dowiedzieć czyj to głos wzywa jego wychowawca i pociągnął go za sobą w tłum jeszcze większy, domyślił się bowiem, że to zapewne ktoś z nad jeziora wola dawnego towarzysza, nie chciał zaś ażeby chłopiec ulgnał znów pomiędzy rybakami i przypominaniem chwil spędzonych nad jeziorem, opóźnił i tak utrudniony już pochód do zamku

Tymczasem przez tłum przedzierało się małe, wątłe dziewczątko i wyciągając swoje chude, czarne dłonie krzyczało w niebogłosy: — Bogum, Bogum!

Matka za nią wołała, niecierpliwając się i wymawiając gniewliwe wyrazy, ale ona tego nie słyszała, tylko biegła przed siebie nie zważając na potrącania i guzy, jakie odbierała od brutalnych spieszących w swoją stronę przechodniów. Tak dostała się do jednej z większych i szerszych ulic prowadzących do głównego rynku, i zmęczona i jakby obłąkana z okrzykiem „Bogum” upadła przed schodami jednego z wysokich domów.

(d. c. n.)

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Już wieczór zapadł i noc rozpostarła swe cienie, gdy Standard-Island nie opuściła jeszcze wąskiego a niebezpiecznego kanału, czegoż jednak mogą się obawiać jej mieszkańcy, gdy kieruje nimi wprawna dłoń, doświadczonego Komandora?

Dopóki słońce nie skryło się za wyżynami Lanai, straż u portów i na wieżach miasta obserwowała, zdala trzymający się statek malajski; nazajutrz nawet gdy słońce oświeciło horyzont, żagle jego widniały jeszcze, jak drobne punkciki białe.

Okoliczność ta, dziwna może trochę, nie wzbudzała wszakże najmniejszej nawet nieufności lub niepokoju, bo czemuż być musi krucha ta łupinka w obec olbrzyma ukutego ze stali jakim jest Standard-Island.

Dnia tego cudowna wyspa płynie dalej między Kalukani i Maui z których ostatnia mająca za stolicę i port Lahainę, zajmuje drugie miejsce w archipelagu wysp Sandwich; na niej też wznosi się ku niebu na trzy tysiące metrów olbrzymia góra Maleahola co znaczy „Dom słońca“.

Całe dwa dni następne zajęte są okalaniem brzegów wielkiej Hawai, w której zatoce Kealakeacua, kapitan Cook, przyjeży najpierw przez krajowców jak bożyszcze, zamordowanym wreszcie został przez nich 1779 roku. Odważny ten żeglarz dokonał wszakże dzieła odkrycia tych ziem, które ku pamięci sławnego ministra wielkiej Brytanii, wyspami Sandwich nazywał.

Hawai, na której również jak na Oahu, kwitnie cywilizacye Nowego Świata, posiada nawet pięćdziesiąt siedm kilometrów kolei żelazdej, łączącej dwa główne miasta: Hilo i Kailu.

Stojący na wieży obserwatoryum koncertujący kwartet dostrzega najwyraźniej słupek dymu, który się wznosi z lokomotywy idącego właśnie pociągu.

— Tego tylko jeszcze brakowało! — zawołał oburzony tym widokiem Yvernes.

Nazajutrz, gdy Cudowna wyspa opuszczała już te okolice oceanu, statek malajski okrążał właśnie najdalej w morze sięgający przylądek Hawai, której szczyt góry Muna-Loa gubi się w obłokach na cztery tysiące metrów.

— Jesteśmy okradzeni, pokrzywdzeni i oszukani — wołał Ponchard.

— Masz zupełną słusność, odpowiedział Yvernes, trzeba nam było przybyć tutaj o sto lat wcześniej! Jakkolwiek wtenczas nie byłibyśmy mogli odbyć tej podróży na tej prześlicznej pływającej wyspie...

Zgodziłbym się chętnie na takie ustępstwo, bo co mi znaczy Cudowna wyspa wobec przykrości, jakiej doznałem na widok eleganckich tużurków i modnych krawatów, gdy wedle

zapewnień bałamutnego Kalikstusa, spodziewałem się spotkać z dzikimi krajowcami, przybranymi w różnobarwne pióra i błyskotki. Zaprawdę, co do mnie, żałuję szczerze pięknych czasów kapitana Cooka!

— Ciekawy też jestem, czy z równym dzisiejszemu zapalem, przyjąłbyś wtenczas „Ekselencyo” tę krwi chciwą bandę rzucającą się na ciebie z dzikością tygrysa lub lamparta... — zauważył Francolin.

— O... i w tym razie nawet, miałbym to rzadkie na świecie zażwolenie, że choć raz w życiu kochał mię ktoś dla mnie samego!.. — odpowiada wesoły Ponchard.

— Winszuję takich przyjemności, mruknął Sebastyan. Ponieważ od dnia 23-go lipca słońce poczyna się skłaniać ku półkuli południowej, przeto konieczną jest rzeczą opuścić coprędzej okolice w których niebawem ma nastąpić przykra pora deszczowa.

Posuwając się drogą, jaką zdaje się wskazywać złocista gwiazda dnia, Standard-Island gotową jest przebyć linię równika by dostać się ne te regiony ziemi naszej, na których klimat mimo nazwy miesięcy: listopada, grudnia i lutego pozwala mieszkańcom używać najprzyjemniejszej wiosny i lata.

Przestrzeń dzieląca archipelag Hawajski od wysp Markizów wynosi około trzech tysięcy kilometrów kwadratowych, a Cudownej wyspie spieszo być musi powitać te lądy, skoro podaży ku nim z całą możliwą szybkością swej żeglugi.

Ściśle rzeczy biorąc, właściwa Polinezja objęta jest wielkim obszarem, który się mieści pomiędzy Równikiem, od strony północnej, a Zwrotnikiem Koziorożca z południa. Na tej przestrzeni pięciu milionów kilometrów kwadratowych znajduje się jedenaście grup wysp, liczących około dwustu ziem większych i niezmiernej ilości małych wysep, będących niezmierająco więcej nad wyniosłe szczyty olbrzymiego łańcucha gór, który się ciągnie od północy wschodu na południowachód, począwszy od Markezas do wyspy Piktairn.

Gdyby jakim niepojętym sposobem zdołał ktoś z ogromnego tego basenu wylać zapelniającą go wodę, jakież ciekawe lądy, jak wspaniałe okolice zostałyby odkryte przed zdziwionemi oczami ludzi! Bezwątpienia ani Szwajcarya ani Norwegia i Tybet nie dorównałyby im malowniczością krajobrazu.

Wulkaniczne te, po większej części góry, powstały prawdopodobnie jak inne wyżyny naszego globu, wskutek zaburzeń i wstrząśnień wewnętrznych ziemi, z biegiem jednak czasu zostały wzmocnione i jakby wałem ochronnym otoczone, przez miliony drobnych istot niższego ustroju, objęte razem naukową nazwą polipów, które przyczepione do lądów zanurzonych w ciepłych wodach południowych oceanów, wydzielają z siebie części wapienne tworząc materiał twardy, odporny nawet potędze piętrzących się bałwanów. — Korale i wapienne takie rafy opasujące dokoła wyspę, jak żelaznym pierścieniem, pozostają i wówczas niewzruszone, gdy z upływem wieków następuje często znaczne obniżenie poziomu ziemi, a z nią razem i wód morskich. To też nie rzadko spotkać tu można zapadnięte już i zalane oceanem dawne wyspy, o których istnieniu świadczą dziś jedynie owe pierścienie koralowe, *atolami* zwane.

Ponad ukrytym w głębokościach wód ciekawym, a dotąd mało znanym światem, płynie Standard-Island podobnie do napowietrznych statków unoszących się nad szczytami Alp i Himalaja; lecz jak tam wiatr w różnym wieje kierunku, tak tutaj wypada jej się liczyć z licznymi prądami wód morskich.

Największy i najsilniejszy z nich idący od wschodu ku zachodowi, przerzynają w czerwcu aż do listopada dwa przeciwnie prądy objawiające się więcej w górnych warstwach oceanu, a działające przeciw sobie do tego stopnia, iż na wybrzeżach Taiti przypływ i odpływ morza staje się całkiem niedostrzegalnym.

Mimo nieznacznej różnicy geograficznego położenia klimat licznych tych archipelagów bywa bardzo odmienny. Miejscowości góryste nawiedzają często gwałtowne ulewy, znaczne bowiem wyniosłości zdają się zatrzymywać przeciągające chmury; równiny natomiast są suche z orzeźwiającym powiewem wiatru od morza.

Ponieważ naturalnym stosunkiem rzeczy biblioteka w Casino bogatą jest w cenne dzieła, które wyczerpująco traktują wszystkie kwestye odnoszące się do Oceanu Spokojnego, przeto Francolin, najpoważniejszy z koncertującego kwartetu przegląda je z upodobaniem wielkiem.

Nad takie zbyteczne obciążanie mózgu, fantazją żyjącego Yvernes, przekłada miłe mu zawsze niespodzianki; żartobliwy zaś Ponchard bawi się najchętniej komiczną stroną wydarzających się wypadków; jeden tylko wiolonczelista pozostał obojętnym na wszystko, ponieważ, jak utrzymuje, jedzie tam, gdzie nie myślał nigdy zajechać.

Badania Francolina wyjaśniają mu różne kwestye, dają odpowiedź na różne pytania. Nie obcemi są mu już teraz wyspy: Niskie czyli Tuamotu, Markezas albo Mandasas, Karoliny, Towarzyskie, Pomotu, grupa wysp Herveya albo Cooka, wyspy Tonga czyli Przyjacielskie, wielowysp Marszala, wyspy Samoa, Australskie, Walijskie, Fidży, Salomona, jako też pojedynczo rozrzucone Niue, Tokelau, Manchiki, Wielkanocne i t. d.

Badając ich położenie, poznał równocześnie warunki politycznego ich ustroju i wie, że rządy, nawet tych ziem, które zostają pod protektoratem Francji, Wielkiej Brytanii lub Ameryki spoczywają w rękach jednego potężnego władcy, którego działanie nie ulega żadnej krytyce ze strony podwładnych; że jak na całym świecie tak i tutaj ubodzy zostają pod przewagą bogatych; że krajowcy wyznają bądź-to brahmińską, bądź mahometańską lub protestancką religię, że najliczniejsi katolicy są na wyspach zostających pod opieką Francji, dzięki wpływowi gorliwych misionarzy, a może także poczęści wspaniałości ceremonii naszego Kościoła, która imponując im, potężnie działa na proste ich umysły.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: O kamieniach na ziemi spadających, skreślił Stanisław Kramsztyk (z drzew.) — W pustyniach Australii p. Władysława Umieńskiego. — Tramwaje na linach (z drzew.) — Puszcza św. Jana Chrzciciela, wiersz p. Maryę Sandoz. — Obrazek tatrzański (z drzew.) Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Konkurs na latawca (z drzew.) — Sprawozdanie z konkursu dla młodszych dzieci. — Wet za wet, komedyjka w jednej odsłonie. — Łamigłówna. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE



Konkurs na latawca.

— Nie sztuka żadna kupić gotowego już latawca, ale zrobić go samemu, to mi przyjemność prawdziwa! — dowodził zebrany na dziedzińcu kolegom, energiczny Władzio.

— Nasz słuszać — potwierdził najstarszy z grona Stefan, głosując za zrobieniem pięknego latawca.

— Śliczna myśl, kto jednak właściwie ma go zrobić? — pytał gotowy do każdej zabawy Edzio.

— Kto?... alboż to nas mało jeszcze, wszyscy razem możemy wziąć się do roboty!

— Kłaniam uniżenie, ale mam pewne wątpliwości co do zupełnego powodzenia; bo już to wszystkie zbiorowe prace udają się podobno bardzo rzadko — prawili złośliwy trochę Zygmunt.

— Ho, ho, coś mi się zdaje, że kolega Zygmunt ma ochotę na własną rękę budować latawca — wtrącił wesoły Stasio.

— Dlaczegożby nie! pewny nawet jestem, że każdy z was uczyniłby z chęcią to samo.

— A więc dobrze, niechże każdy zrobi sobie latawca jakiego tylko sam zechce! — zawyrokował Stefan.

— Ogłaszamy konkurs na najpiękniejszego i najoryginalniejszego latawca! — głosił uszczęśliwiony Władzio.

— Brawo! Brawo! będzie konkurs! rzecz prześliczna! — wołali, bijąc w dłonie wszyscy chłopcy.

— Kto jednak osądzi nasze prace? — zauważył Stefan — bo przecie gdzie jest konkurs, tam muszą być sędziowie.

— A gdzie są sędziowie tam muszą być kary i na grody — wołał rozbawiony Stasio. Hej koledzy, cóż myślicie, jaką wyznaczyć nagrodę?

— Cicho Stachu! ty zawsze zostaniesz niepoprawnym trzpiotem, niechże najpierw będą latawce i niech choć jeden z nich zasłuży na zaszczytne wyróżnienie — uspokajał Stefan.

— Latawce pewno będą, bo nam do robienia ich na ochocie nie zbywa, a na sędziego poprosimy stryjka Edzia, on zawsze taki gotowy we wszystkim nam pomagać; — odezwał się Zygmunt. Poprosimy go grzecznie dziś zaraz o tę nową dla nas przysługę, a teraz żwawo do dzieła!

— W sobotę o godzinie czwartej stawimy się tu wszyscy z latawcami naszego pomysłu — dodał Stefan — nagrodę zaś niech już pan sędzia oznaczy.

— Zgoda! zgoda!... — wołali chłopcy i biegli spieszenie do swoich mieszkań, tworząc w myśli różne plany do oryginalnego utworu.

Przez całe dwa dni, aż do soboty zajęci wielce, spotykali się na krótkie tylko chwile, z jakimś tajemniczym wyrazem twarzy. Każdy bał się widocznie zdradzić przed kolegą z pomysłem swej wyobraźni, każdy z ciekawością oczekiwał chwili otwarcia konkursu.

To też w sobotę, uprzedzając nawet oznaczoną godzinę, stawili się wszyscy, wraz ze swymi olbrzymimi arcydziełami, na placu zwykłej zabawy, gdzie uprzejmy stryj Edzia już od kwadransa czekał na nich.

Co było gwaru, wykrzykników podziwu i wybuchów śmiechu, gdy pięć wspaniałych latawców stanęło rzędem, oparte o mur, jeden obok drugiego, a twórcy ich wraz z łaskawym sędzią kolejno je oglądali.

Zręcznością utworu odznaczał się bajecznej wielkości ptak Zygmunta, śliczną była tancerka Władzia, przerażająco brzydką olbrzymia głowa z wytrzeszczonymi oczami, arcydzieło najmłodszego Stasia, bogato złocistymi promieniami ozdobiona kometa Edzia, ale ogólny i zasłużony podziw wzbudził we wszystkich skrzydlaty smok Stefana.

— Oto najpiękniejszy, oto jedyny do nagrody! — wołali niezazdrośni przyjaciele.

— Rzeczywiście, rzecz to szczególnie udana — potwierdził stryj Edzia, ale, że i drugim nie mam nic do zarzucenia, musimy, zanim przyznamy nagrodę, wypróbować jeszcze ich zdolności unoszenia się w powietrzu.

Żwawo i z humorem skoczyli chłopcy do swych olbrzymów i niebawem, aż zaszumiało w powietrzu, gdy smoki, komety, tancerki i ptaki wzniosły się ku obłokom.

— Brawo! przyjaciele! — odezwał się uśmiechnięty z zadowolenia sędzia konkursowy, widząc, że każdego z was nagrodzić można za dokładną i bardzo zręczną robotę. To też mam zamiar zrobić wam przyjemność taką, że każdego latawca uwiecznię na osobnej fotografii.

— Ach, jaki pan dobry! — wołali chłopcy. — Dziękujemy, dziękujemy!

I rzeczywiście, wkrótce konkursowe latawce zostały ofdfotografowane, i choć oryginały dawno już uległy zniszczeniu, podobizny ich trwają dotąd. Ponieważ do rąk naszych doszła przed kilku dniami kartka wyobrażająca zręczną tancerkę Władzia, więc spieszymy przedstawić ją naszym czytelnikom, w myśli, że może też sami zapragną utworzyć coś podobnego.

Sprawozdanie z konkursu dla młodszych dzieci.

(Dokończenie).

Oprócz tych, nadesłano jeszcze wiele innych życzeń i tak:

Dziewięcioletnia *Polna różyczka* marzy o cztero, rublowych skrzypcach, któremi mogłaby zastąpić nielubiony przez nią fortepian. Sądzymy, że jeśli ma rzeczywistą zdolność do muzyki, to przewyciężywszy pierwsze trudności, z czasem i na fortepianie z przyjemnością grywać będzie.

Ośmioletnia *Stokrotka* z Jabłonny życzy sobie otrzymać od wróżki książeczkę w ładnej oprawie, w której byłaby powiastka o grzecznych dzieciach: siostrzyczce i braciszku, mających swój ogródek i małego kotka Mruczka. Wnosimy, że z tej książeczki Stokrotka chce się nauczyć jak zgodnie z braciszkiem pracować w ogródku wypada i jak należy łagodnie obchodzić się ze zwierzętami, aby one do dzieci przywiązać się mogły.

Siedmioletnia *Juskółka* z Mszanki dopomina się u wróżki o ładną lalkę w niebieskiej sukience, w niebieskich pończoszkiach, w żółtych pantofelkach i w niebieskim kapelusiku, z którą mogłaby chodzić na spacer do Łazienek. Powiada, że dla tego, iżby na taką lalkę zasłużyć, stara się ładnie pisać wypracowanie konkursowe. Mamy też nadzieję, że wróżka przychyli się do żądania grzecznej i starannej dziewczynki i jeśli nie teraz, to na gwiazdkę, wymarzoną laleczkę jej przysła.

Nie tak umiarkowane życzenie 9 letniej *Stokrotki* z P. świadczy jednak o kochającym sercu; prosi ona aby wszystkie drogie jej osoby były zawsze szczęśliwe i nigdy nie umierały. Godzić się musimy z koniecznością nietrwałego bytu na tej ziemi, a żądanie Stokrotki wiecznego żywota i doskonałego szczęścia dla wszystkich jej blizkich, poza grobem dopiero spełnionem być może.

Ośmioletnia *Perełka* chciałaby, aby ludzie nigdy nie umierali. Skoro jednak Bóg inaczej rozrządził i wszyscy kiedyś u kresu dni naszych stanąć musimy, żyjmy tak, aby nas nie przestraszała myśl o śmierci.

Dziesięcioletnia *Konwalijka* pragnie pozyskać życzliwość i przyjaźń bliższych i dalszych znajomych. Niech będzie tak słodką, miłą, niewinną jak kwiatek, który sobie za pseudonym obrała, a nie wątpimy, że wróżka spełni jej życzenie.

Janina z nad Prutu prosi o zdrowie dla swej siostrzyczki; wyznaje, że nie zawsze w zgodzie z nią żyje, ale gdy widzi ją obecnie cierpiącą, powrót chorej do zdrowia jest najgorętszym życzeniem jej serca.

Dziewięcioletnia *Jaga* pragnie, aby nie było na świecie złych i nieszczęśliwych. Żądanie to trudne do spełnienia, jeśli jednak nie w naszej mocy jest zapobiedz nieszczęściu, to przynajmniej wykorzeniać powinniśmy wady będące źródłem złego.

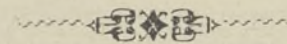
Ośmioletnia *Misia N.* zamiłowana w czytaniu, pragnie mieć dużo książek i żałuje, że wieszczka, któraby to życzenie skreślone kształtnem pismem urzeczywistnić mogła, we śnie ukazała jej się tylko. Mamy nadzieję, że Misia będzie miała nieraz w życiu sposobność na jawie zadość uczynić upodobaniu swemu, byle tylko treść czytanych książek przysparzała zawsze dobrych zasad w jej duszy, a jasnych i zdrowych myśli w głowce!

Siedmioletnia *Marynia G.* wyznaje, że namyślała się długo nad tem, z jakim życzeniem do wróżki się odwołać i nic mądrego wymyśleć nie mogła. Chciała zrazu iść za radą młodszej siostrzyczki i prosić wieszczki aby ich lalki przemieniła w żywe istoty, ale rozmyśliła się, że z żywymi lalkami dużo bywa kłopotu i nie zdobyła się na żadne stanowcze żądanie. Ten brak decyzji u młodej dziewczynki dziwić nas nie może.

Sześciioletnia *Czerwona Stokrotka* niewiele od Wróżki żąda, prosi tylko, iżby wieczorem kiedy mama zapędzą ją z siostrzyczkami do łóżeczka, Wróżka trochę dłuższych chwil na zabawę użyczała, bo wtedy właśnie do tej zabawy największą mają ochotę. Możeby rozumniej było prosić wieszczkę, aby dziewczynki chętnie zawsze do woli mamy się stosowały, bo mama tego tylko wymaga, co dla zdrowia i korzyści dzieci potrzebne.

Inni nasi czytelnicy mniej może poprawnie, lecz dobrane określili życzenia.

Wszystkim przeto którzy stawiali wróżce rozumne, pożyteczne żądania, życzymy żądań tych spełnienia!



WET ZA WET.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

(przypisana Wandzi z Warty).

(Dokończenie).

EDZIO. Nigdy! muszę im za to odplacić, wiem nawet co uczynię.

FELCIA. Powiesz mi?

EDZIO. Ależ, z największą chęcią! Przed tobą nigdy nie mam tajemnic; jest nas tylko dwoje, źle byłoby bardzo, gdybyśmy się nie kochali całym sercem i nie czuli do siebie zaufania. Felciu, tyś mi jest bardzo drogą, twej prośbie nigdy oprzeć się nie mogę, wszystkobym uczynił dla ciebie. Dla tego proszę cię, nie zabraniaj mi zemścić się na tych niegodziwych chłopcach.

FELCIA. Przykro mi, braciszku, że nie chcesz odstąpić od twego zamiaru. Powinniśmy zapominać krzywd naszych, przebaczać, a nie mścić się...

EDZIO. Felutko! prosiłem cię, abys pozwoliła uczy-

nić mi, co zechcę. (*Caluje Felcię i siada z nią na kanapce*).
Ot, siadaj lepiej i posłuchaj, jaką zemstę obmyśliłem.

FELCIA. Żebyś tylko zbyt wielkiej przykrości im nie wyrządził.

EDZIO. Podobnego figła im spletam, jak oni mnie. Otóż u mnie są ich kajeta, o które przed chwilą prosiłi, żeby im odesłać. Tadzia są zadania arytmetyczne, ma je odrabiać dziś jeszcze, a Józio ma u mnie kajet z konjugacyami łacińskimi. Dobrze więc, odeszłę im ich własność, ale powydzieram Tadziewi karty z zadaniami; a Józiowi konjugacye przepisane już porządnie zleję atramentem, zrobię to nawet w tej chwili.

FELCIA. Braciszku, namyśl się jeszcze. Napisz wpierw swoje wypracowanie.

EDZIO. Kiedy mi tak radzisz, to cię już usłucham w tym razie. Ale przedtem muszę iść, kupić nowy kajet, bo ten już na nic, cały się rozlatuje. Do widzenia ci, siostrzyczko! (*Edzio wychodzi*).

SCENA IV.

(*Felcia sama*).

FELCIA (*stoi chwilkę zamysłona*). Przyszła mi jedna myśl do głowy! Kto wie, czy nie byłoby dobrze tak uczynić... Tylko, Edzio może się pogniewa na mnie? E! cóż znowu! On miałby się na mnie gniewać? Nie, to niemożliwe! Edzio jest tak dobrym bratem, że pewnie drugiego takiego niema na świecie. Ja go też kocham całą duszą! całym sercem! Życie oddałabym za niego... Nie dopuszczę więc, żeby drogi mój braciszek plamił się zemstą... Najlepiej będzie, gdy wezmę kajeta Józia i Tadzia i zaraz im odeślę, a później, gdy Edzio będzie ich szukał, uściskam go serdecznie i przeproszę, (*Idzie do stolika i szuka między książkami*). Mam już zadania Tadzia, (*przegląda kajet*). Nie bardzo trudne. (*Bierze drugi kajet*). A to kajet Józia. (*Przegląda*). Ach! jak on krzywo pisze!... (*po chwili*). Jeszcze jeden pomysł przychodzi mi do głowy! Może mi się uda. Tak! tak będzie doskonale... (*Wybiera z kajetami w rękę*).

SCENA V.

(*Wchodzi Edzio*).

EDZIO. Teraz więc zabiorę się szczerze do wypracowania; nie wiem tylko, czy przepisać to zniszczone, czy też zupełnie nowe napisać... Może mi się jeszcze lepiej uda? A może gorzej napiszę?... Doprawdy nie wiem, jak zrobić! (*Namyśla się przez chwilę*). Ech! wolę przepisać! Dalej więc do roboty. Gdy skończę wypracowanie pomyślę nad moją zemstą! Wyobrażam sobie, jacy oni źli będą! Nie spodziewają się, że tak prędko spostrzegłem szkodę, jaką mi wyrządzili. Żeby nie Felcia, to z pewnością nie wiedziałbym nic dotychczas. Kochana siostrzyczko! Co tylko ona robi, musi być dobrem; nie zdolna do złego. Felcia, to anioł! Ach! ona milion razy lepsza odemnie! Jestem pewny, że gdyby jej kto uczynił takiego złośliwego figła, jak mnie dzisiaj, to ona zamiast się zemścić, jak ja, żalowałaby tych, którzy mają takie złe serca... I zamiast mścić się, bez wahania przebaczyłaby winowajcami, nie usłyszeliby nawet zasłużonej wymówki. Doprawdy, mogę się szcycić taką siostrą! Ale ja nie jestem podobnym do niej; naprzykład w tej chwili, nie mogę

przebaczyć tym niegodziwym chłopcom!... Ale gdzież są kajeta Józia i Tadzia?... (*szuka*). Może oni już je zabrali?... Ach! toby mię dopiero urządzili! Musiałbym obmyślać co innego. Ale wtedy odwet byłby surowszym... Ech! zaczyna mię to niecierpliwić!...

SCENA VI.

(*Wbiega Felcia*).

FELCIA. Czego szukasz, Edziu?

EDZIO. Kajetów Tadzia i Józia, zniknęły mi ze stolika.

FELCIA. Nie szukaj ich braciszku, one znajdą się później, chodź lepiej, taką mam ochotę pogawędzić z tobą.

EDZIO. Rzeczywiście, jeszcze dość czasu mam na wypracowanie. (*siada przy Felci*).

FELCIA. Więc jeszcze nie napisałeś wypracowania? A co robiłeś tak długo?

EDZIO. Myślałem Feluniu o tobie i o sobie także.

FELCIA. Doprawdy? No i cóż myślałeś?

EDZIO. Że ty jesteś milion razy lepszą odemnie.

FELCIA. Ech! nie chwał mię tak bardzo, bo gotowam się popsuć.

EDZIO. O! nie, nie, ja wiem, że zawsze taką będziesz, jak teraz.

FELCIA. Więc mnie kochasz, braciszku?

EDZIO. Ach! i ty się pytasz o to?

FELCIA. A gdybym co zbroiła, gniewałbyś się na mnie?

EDZIO. Ja? Na ciebie? Nigdy! Choćbyś mi nie wiem co zrobiła; nie mógłbym się gniewać na ciebie. Zresztą pewny jestem, że ty nigdy nie dasz mi powodu do gniewu, tyś taka dobra, siostrzyczko!...

FELCIA. A jednak, kto wie, czy gniewać się nie będziesz.

EDZIO. Na ciebie? Felciu, co ty mówisz?...

FELCIA. Bo widzisz Edziu, zawiniłam bardzo.

EDZIO. Nie wierzę! Ty jesteś zdolną tylko do dobrego.

FELCIA. Ja też nie złego nie uczyniłam. Tylko...

EDZIO. Tylko co? No powiedz, bo mię bardzo zaciekawiasz.

FELCIA. Edziu, zrobiłam ci wielką przykrość, ale inaczej nie mogłam postąpić. Przyszłam tutaj umyślnie, żeby przyznać się do winy i uzyskać przebaczenie (*z przymleniem*). Braciszku, przebaczysz?

EDZIO. Ty żartujesz Felciu ze mnie. Ja nie wierzę, żebyś mi jaką przykrość wyrządziła. To nieprawda!.. Chcesz mię może wypróbować, czy potrafię się gniewać na ciebie?

FELCIA. Niestety, to nie jest próba! Posłuchaj, opowiem wszystko, a ty bądź wyrozumiałym i przebacz!...

EDZIO. Naprzód już mogę ci udzielić przebaczenia. (*Wchodzą Tadzio i Józio kłaniające się, Edzio zrywa się z kanapki*).

FELCIA. Pst! Edziu, bądź cierpliwym.

SCENA VII.

TADZIO. Edziu! drogi nasz kolego, przebacz!

JÓZIO. Żałujemy szczerze...

TADZIO. Jesteś najlepszym naszym kolegą! Nigdy nie spodziewałem się tak szlachetnej zemsty!

JÓZIO. Zawstydziliś nas strasznie!

EDZIO (*zakłopotany*). Ależ ja...

FELCIA (*przerywa*). Tak, mój braciszek innej zemsty nie zna, on nie uczyniłby przykrości nikomu.

EDZIO (*zdziwiony*). Ależ Felciu..

FELCIA (*trąca go nieznacznie*). Pst! braciszku, udawaj, że rozumiesz o co chodzi, później się dowiesz.

TADZIO. Gdy otworzyłem mój kajet i spostrzegłem zadania już odrobione, zdumiony byłem bardzo, lecz później, przeczytawszy, znajdującą się tam karteczkę, na której napisałeś: „To moja zemsta za wypracowanie”, rozbeczałem się, Edziu, czy uwierzysz? Ja, mężczyzna płakałem, jak mała dziewczynka.

JÓZIO. A ja nie wiedziałem co zrobić z sobą. Tak mi było dziwnie jakoś, taki mnie żal opanował. O! poczciwy mój kolego! tyle trudu sobie zadałeś, linjując cały kajet do końca! Wiem przecież, jak nie lubisz tego, zawsze krzywe masz linje w swoich kajetach, a w moim tak równiutko polinjowałeś.

TADZIO. Tak się zemściłeś za nasz czyn niegodziwy i tą zemstą dokazałeś więcej, niż każdą inną... Edziu, tyś najlepszym, najszlachetniejszym kolegą!

JÓZIO. Ach! gdybym mógł ci wrócić w całości zniszczone wypracowanie!...

FELCIA. Edzio zdąży jeszcze napisać nowe.

EDZIO. O! jeszcze mam dość czasu!...

TADZIO. My też nie będziemy ci przeszkadzać, przybiegliśmy tylko na chwilkę, by cię przeprosić i podziękować.

JÓZIO. A zatem przebac Edziu i zapomnij cośmy uczynili. (*Tadzio i Józio całują Edzia, kłaniają się Felci i wychodzą*).

SCENA VIII.

EDZIO. Felciu! siostrzyczko kochana; domyśliłem się wszystkiego. Więc to ty?...

FELCIA. Tak, ja zemściłam się za ciebie!

EDZIO (*całuje Felcię*). O! kochana moja!

FELCIA. Więc się nie gniewasz na mnie?

EDZIO. Na ciebie? Ja miałbym się gniewać? Och! nigdy, nigdy! Jestem ci nieskończenie wdzięczny, za to coś uczyniła. Bo gdybym ja mej zemsty dokonał, Tadzio i Józio znów by mi tego nie darowali i nie byłoby końca gniewom naszym.

FELCIA. Ale jak wyśmienicie udało mi się napisać karteczki twym charakterem.

EDZIO. Jednak Felciu, ja im muszę prawdę powiedzieć, pocóż mają uważać mię za lepszego, niż jestem...

FELCIA. Edziu, proszę, nie mów im nic. Tym razem muszą pozostać w błędzie. Lecz za lepszego mieć cię nie będą, bo od dzisiaj ty znać będziesz tylko zemstę szlachetną. Ta druga, inna, powędrowała sobie daleko, daleko! i nie wróci więcej. Ty przecież złym nie jesteś, braciszku?

EDZIO. Prawda! Trudno być złym, gdy się ma taką siostrzyczkę. Och! rówieśnicy moi, którzy macie sio-

stry klótlive, złośnice, niecierpliwe i z wszelkimi innymi wadami, żal mi was, żal bardzo, bo nie możecie się szczyścić niemi, jak ja moją Felunią.

(*Obejmuje w pół Felcię i śpiewają razem wesołą nutę*).

N...ka.

SZARADA.

Pierwsze, przy końcu śpiewnej gamy się znajduje,
Drugie, zwykle najbliższy przedmiot pokazuje;
Bez różnicy narzecz, w języku wszelakim,
Ale tylko wyłącznie w rodzaju nijakim.
Wszystko razem corocznie po wiosenki kresie,
Nagrode rolnikowi w hojnych plonach niesie.

Skrzynka do listów.

Prosimy aby czytelnicy i czytelniczki nagrodzone na ostatnim konkursie, zgłaszali się po odbiór otrzymanych nagród do naszej redakcyi, nadmieniamy przytem że w sprawozdaniu z konkursu przez omyłkę wydrukowano *Skowronek* z nad Warty gdy powinno być z nad Wiochry.

Z. P. pisze do nas, że największą przyjemność wakacyi stanowi dla niej powrót do domu na czas dłuższy, braci ze szkół, a siostrzyczek z pensyi, że pierwsze chwile radosnego połączenia upływają przyjemnie i zgodnie, ale wkrótce ułomność natury ludzkiej górę bierze nad uczuciami rodzinnego przywiązania; bracia zaczynają się siostrzyczkom sprzeciwiać, siostry zaczynają się na braciszków obrażać a koniecznym tego następstwem częste swary, sprzeczki i niezadowolenia. Z. P. radaby zlemu zaradzić, zapytuje nas tedy jaki najskuteczniejszy ku temu środek? Znaleść go może w dobrych popędach własnego serca: gdy widzi, że które z rodzeństwa nie umiejące zność żadnej przeciwności w zdaniu lub żądaniach swoich, gniewem unieść się gotowe, niech wtedy przemówi do niego z większym jeszcze jak zwykle spokojem, niech uwagę jego stara się odwrócić od przedmiotu będącego powodem nieporozumienia, a tym sposobem niecierpliwa siostrzyczkę, czy też popędliwego braciszka prędzej do upamiętania przywróci, niżeliby to uczynić mogła długimi moralami. Duch pojednawczy na tem głównie zależy, iżby w porę zapobiegać kłótni a o istotach łagodzących popędliwych, wyrzekł Chrystus: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwanibędą synami Bożymi”.

Z. B. nadesłał dobre rozwiązanie łamigłówki sylabowej ale do tej którą sam ułożył zapomniał dołączyć rozwiązania, bez czego pomieszczoną być nie może.

II. G. skarży się że nauka pisania jest trudną i chciałaby się dowiedzieć jak ją sobie ułatwić. Chociaż sama nie jestem w tej sztuce biegłą, bo jak wiesz jaskółki nóżkami swemi nie bardzo zręcznie posługiwać się umięją, wędrując jednak po różnych stronach świata, słyszałam jak w takich razach bierze się jedną uncję dobrej woli, trzy drachmy cierpliwości, pięć skrupułów wytrwałości, dziesięć gran pilnej uwagi, to wszystko miesza się razem i używa codziennie przed lekcjami. Środek ten do różnego rodzaju usiłowań ludzkich zastosować się daje; wypróbuj go, a jeśli rzeczywiście skutecznym się okaże, udzieli recepty znajomym i koleżankom swoim

Jaskółka.

Nauczycielka z wykształceniem gimnazyalnem, posiadająca języki z konwersacją, muzykę, poszukuje miejsca lub na wakacje. Wiadomość w Redakcyi.